

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

PRACA.

Każda praca w Imię Boże
Rozplenia się drobnem ziarnem —
Każdy niech daje, co może
I składa sercem ofiarnem.
Więc na rolę tę ojczystą
Nieśmy pracę i myśl czystą.

Każda praca, gdy podjęta
W Imię Boże, ciężkim trudem,
Rwie niemocy srogie pęta
I rozrasta jakby cudem.
A więc śmiało, ochotnicy
Wnoście grosz swój do skarbnicy.

Naród i miłość rodzinna
Światłą pracą stoją szczerlnie —
Wykwita latorośl winna
Tam, gdzie rosły głogi, ciernie,
A z głazów, kędy posucha,
Zdrój żywy tryska dla ducha.

Z pługiem, harfą, pędzlem, piórem,
Przy jednym siadźmy ognisku,
Hymn ojczysty niech brzmi chórem,
W bratnim łączy nas uścisku.
Więc do pracy w Imię Boże,
Jak kto umie i jak może!

Agnieszka Baranowska.

Każda praca, choć noc głucha
Umysł wznosi, światło sieje,
Zdrowy karm daje dla ducha,
Budzi wiarę i nadzieję.
Więc i my na ojców łanie
Pracujmy wszyscy Polanie.

W koło odlóg, niwa dzika,
Piętrzą się głązy odwieczne,
Wzruszy je pług i motyka,
Skruszą promienie słoneczne.
A więc zwolna, ale wiernie
Zacznijmy karczować ciernie.



Pocziwy kmiotek.

Tłum ludu cisnął się na ulicach i w porcie wielkiego miasta Gdańska. Usadowione na miejscu gdzie Wisła wpływa do morza Bałtyckiego, a zatem w wygodnym położeniu do spławiania produktów, było to miasto od najdawniejszych czasów ogniskiem handlowego ruchu Polski, mającej już oprócz rolnictwa i rycerstwa — przemysł, a prócz rolników i żołnierzy — mieszczan.

Tam to spławia piękne budowlane drzewo, potaż, skóry i wełnę; tam to odprawiały się głośnie jarmarki, ściągające ludność cudzoziemską; tam zwożono ze wszystkich stron kraju niesłychane kupy zboża, po które cudzoziemcy z dalekich krajów z tysiącami statków przyjeżdżali. Gościnna Polska, którą dla obfitości zboża zwano Egiptem europejskim, ludów żywiciela, spiżarnią holenderską, krajem błogosławionym, wychodziła na ich spotkanie jak dobra gospodyni, w progu domu swojego witając gością solą Wieliczki i chlebem z Proszowskiej skiby.

Tutaj królowie różnych krain w czasach głodu kupowali zboże przez swoich posłów, ztąd wypływały liczne statki z żywnością dla Genewy, Hiszpanii, Francji i Konstantynopola; ztąd Polska gospodarowała na świat szeroki, rozsyłając potrzebującym i głodnym plony swej ziemi, nagromadzone w śpiichlerzach Gdańska. A śpiichlerze były wielkie i sławne, siedmiopietrowe, suche i wygodne, mieściły naraz po 500.000 korcy samej białej lub nakrapianej pszenicy, zgromadzonej na samotnej Motławskiej wysepce, gdzie przystęp surowo był strzeżony. Ruch w porcie był tak wielki, że jeden robotnik w przeciągu czterech godzin 500 korcy naładował.

W tym to porcie 10 października 1685 roku, kiedy liczne miary sandomierskiej pszenicy zsypany na rzymskie statki Ojca św., przez ulicę Gdańską ciągnął zwolna ubogi wózek, zaprzężony wolem i zmierzał wprost na Motławkę.

Wieśniak w brunatnej sukmanie siedział na worku zboża. Choć to już dawno temu, ubiór jego był taki sam, jaki teraz noszą kmiecie. Siermięga, kapelusz słomiany, koszula biała, i czerwona wstęga u koszuli: oto jego ubranie; bo wieśniacy nie skorzy do zmieniania sukni, jaką ich ojcowie nosili, pilnują jej jak świętej spuścizny, i dobrze czynią, byleby wraz z suknią pilnowali cnót ojcowskich, kochali się wzajemnie, jak przystoi synom jednego narodu i byli równie pobożni, przywiązani do swej ziemi i dbający o jej chwałę, jak ich przodkowie.

Jakób Pasternak miał właśnie te wszystkie cnoty. Poznać to było można z jego podobnej i czerstwej twarzy, z uśmiechu na ustach i z siwych oczów, które dobrodusze rzucały spojrze-

nie. Ujrawszy stróżów broniących mu wstępu na Motławkę, zafrasował się, skoczył z woza i postąpił do stojącego tuż urzędnika, który go spytał:

— A gdzie to wam, ojcze, tak spieszo z tym workiem?

— Gdzie? — powtórzył Jakób — czy to Jegomość nie wie, że ojciec święty przysłał posła swego do króla z prośbą o zboże, bo podobno wielki niedostatek cierpią poddani jego.

Urzędnik spojrział z zadziwieniem na chłopca, lecz wkrótce odpowiedział:

— Wiem, wiem!... poseł ojca świętego, Aleksandra VII, wielbny Renkala, uprasza o kilkadziesiąt tysięcy lasztów zboża. Właśnie wyjeżdża ze stolicy ze szczęśliwą nowiną naszego miłościwego króla, a w porcie już ładują zboże na statki papieżkie.

— Ładują — zagadnął wieśniak — dzięki Bogu, w sam czas przyjechałem, puśćcież mnie panowie na Motławkę, kędy zboże zsypują.

— Jakto? na Motławkę przystęp wzbroniony; z wozami tedy nie można.

— Tedy zaniosę worek na plecach, bo widzi wielmożny pan, ja oto tę miarkę zboża posłałem do Rzymu... Papieżowi. On się nie obrazi, że tak mało; zsypią z drugimi, i nie dowie się ile mego było. A Bóg widzi, że więcej dać nie mogę, bo u mnie w chałupie bieda, i mego ledwo do przednowku wystarczy.

— Czemuż chcesz tak koniecznie przesłać to zboże do Rzymu — powiedział wzruszony urzędnik — kiedy go sam masz nie wiele?

— Wielmożny panie, dajemy dziesięcinę plebanowi, a jakże jej nie mamy dać najstarszemu z księży, kiedy oto jest w biedzie?

Urzędnik uderzył się po kordzie, i powiedział:

To bardzo pięknie z twojej strony, mój kochany pocziwcze, lecz statki papieżkie z rozkazu króla bez pomocy poddanych będą naładowane.

Wieśniak przybliżył się ku niemu i rzekł ciszej:

— Jużci trzeba nam miłościwemu królowi przyjść w pomoc. Panisko naszkodowało się w wojnie ze Szwedami, narabują go też nie mało Kozacy, wszyscy więc powinni wchodzić w jego potrzeby i po obywatelsku przykładać swe ziarno. Wiem ja, że moja odrobina nie wiele znaczy, lecz nikt sam jeden nie ma tyle zboża, ile go trzeba posłać. Gdy każdy da swoje cząstkę, przyspieszy się napelnienie miary.

Urzędnik uściśnął chłopca serdecznie, ujęty jego religijnem i obywatelskiem uczuciem.

— Tak jest — powiedział — słuszną jest oddać co można najstarszemu z kapłanów, następcy Piotra św., widzialnej głowie kościoła, i pięknie jest dbać o honor swej ziemi. Zatrzy-

maj się więc z twoim workiem; pójdę poradzić się starszyzny, co mamy z nim zrobić.

Podczas tej rozmowy gromadka przechodniów otoczyła chłopą i urzędnika, a gdy ten ostatni wszedł do sieni wielkiego domu, przechodnie wieśniakowi zadawali pytania.

— Z daleka jesteś przyjacielu? — mówiono.

— A jużci — odpowiadał — z Bronowa, ośm mil od Gdańska.

— I ośm mil wołem jechałeś?

— A jużci wołem. Pocziwy to pięciolatek, i taki rozumny jak koń.

— Kogoż zostawiłeś w domu?

— Jest ci ich tam nie mało — odparł kmieć — moja kobieta, sześcioro dzieci, dwie krowy, wieprzak, kaczek troje i indyczka.

Wszyscy rozśmiali się na to wyliczanie Pasternaka, a on tymczasem zatknawszy bicz w wozie, siadł przed domem na ławie i czekał.

Nieza długo drzwi się otworzyły i urzędnik wszedł oznajmując:

— Starszyzna rozkazała, aby twoje zboże, Pasternaku, zsypać na statki Ojca św., i król o tem będzie wiedział.

— Król o tem będzie wiedział! — powtórzyła gawiedz uliczna — a chłop kłaniając się do nóg urzędnikowi, dodał:

— Eh! co tam, wielmożny panie, zatrudniać króla taką garstką!

I złożywszy w ręce posługaczy worek, zawierający ze trzy korceyki, popędzał wołu wśród życzliwych okrzyków gawieździ.

Skoro stanął w domu, wybiegło na jego spotkanie sześcioro biednych dzieci i żona, około której garnał się drób domowy. Dym okopcał ściany niskiej strzechy, po części zniszczonej niedawnym pożarem, a w malowanej skrzynce, niedgdyś zasobnej w korale i w wełniane szaty, pozostał jeden tylko klejnot: obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Pasternak ani sarknął na tę biedę, lecz z ufnością w Boga wziął się jak zwykle do pracy i znów płynęły dni w jednostajnych, ciężkich trudach. Król nieszczęśliwy, Jan Kazimierz, zafrasowany nieprzyjacielskim napadem, o którym wiedzą dobrze i wieśniacy, choć się nie uczyli historii, bo w niejednym kościółku tkwią jeszcze dotąd szwedzkie kule, nie prędko się dowiedział o postępku Jakóba. Dopiero kiedy Szwed za pomocą Matki Boskiej został przez przeora Kordeckiego pobity w Częstochowie, kiedy wreszcie i przez innych wodzów, zachęconych tem zwycięstwem, wróg z kraju wypędzony został, a król Jan Kazimierz na zawdzięczenie Bogu uciśzoną Ojczyznę oddał opiece Najświętszej Panny i uczynił uroczyste wotum zajęcia się losem ubogich kmieci, Pasternak pierwszy korzystał ze szlachetnego postanowienia polskiego monarchy, który mu do-

pomógł i chatę odbudować i wychować sześcioro dzieci.

Jakoż wkrótce, wsparte opieką królewską, zakwitło gospodarstwo wieśniaka. Dzieci jego porządnie ubrane, uczyły się kochać Boga, na chleb zarabiać, i odziedziczyły z czasem ojcowski dostatek; ale najpiękniejszą ich spuścizną było wspomnienie cnotliwego postępku Jakóba, które dotychczas w okolicach Gdańska przechowuje się w ustach ludu.



O trzech siłaczach Żelazomie, Kruszyskale i Waliborze.

Chodziła raz jednego żebraczka, nosząc ze sobą dziecko, a był to chłopiec. Raz we wieczór przyszła do pewnego gospodarza, prosząc o nocleg. Gospodarz, bo był litościwy, nie tylko jej pozwolił się przenocować u siebie, ale jej jeszcze dał i wieczerzę, gdyż mawiał, że podróżny kuchni ze sobą nie nosi. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy rano wstał, a żebraczki nie było, jeno sam chłopiec. Ze zaś nie miał własnych dzieci, to też się nad tem bardzo nie gniewał, ale postanowił chłopca chować jak swoje dziecko. Dokładał on też wszelkiego starania, by chłopcu na niczem nie zbywało, słowem, taką miał o niego staranność, jakby był jego rodzonem dzieckiem.

Chłopak też, jakby chciał nagrodzić staranność swego taty — bo tak go nazywał — rósł aż miło. Ale nie tylko wzrost jego szybko się pomnażał, lecz też i siła, bo będąc jeszcze małym, już miał jej jak dorosły człowiek.

Gdy już wyrósł na parobka, wtedy robił niemal za wszystkich, czy to w polu, czy w domu. A kiedy się w karczmie pokazał przy muzyce, to tak cichuteńko, tak spokojnie się wszyscy zachowywali, jakby tam żadnego nie było; bo niechby tylko kto był głowę nieco wyżej podniósł, to mu jej wnet przytarł. Ztąd wszyscy mieli przed nim respekt.

Razu jednego rzekł do swego ojca przybranego:

— Tato, kupcie siedem centnarów żelaza, a dajcie mi łaskę ukuć, bo wtedy to mnie się jeszcze będą wszyscy bardziej bali, niż gdy z gołą pięścią idę.

Ojciec pomyślał sobie: Ty głupcze, a na co by się tobie taki drag przydał, toć byś go ani nie uniósł, i zamiast siedem centnarów, kupił tylko dwa i z tego dał mu ukuć łaskę, a raczej drag. Gdy już była gotowa, kazał mu iść do

